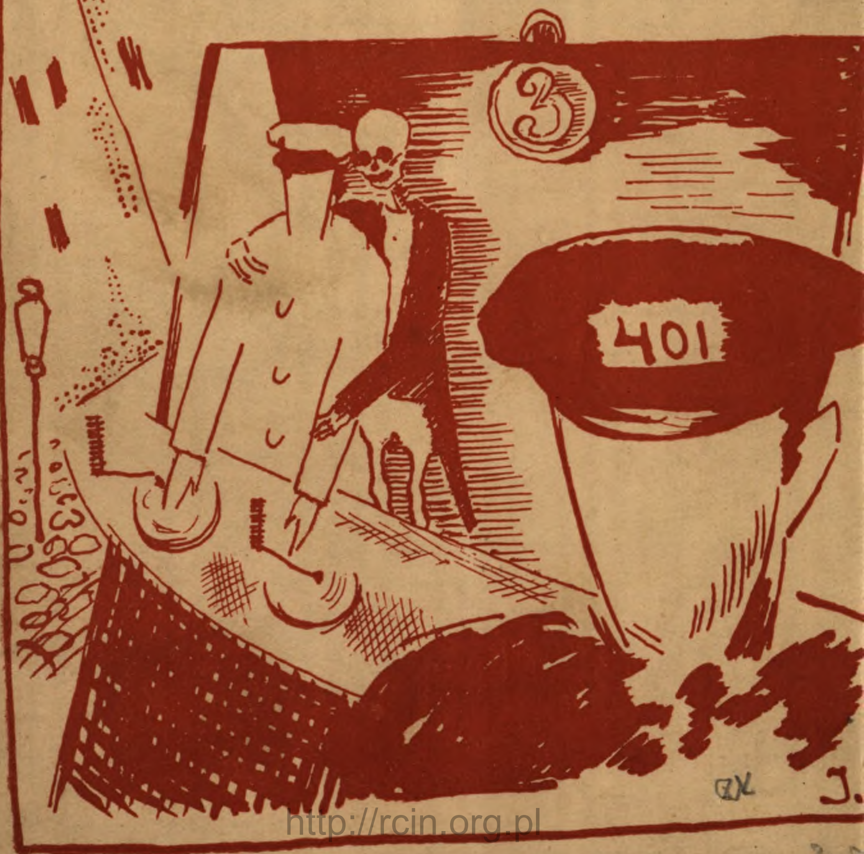


JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

LUDZIE BEZ TWARZY



JÓZEF ALEKSANDER GAŁUSZKA

LUDZIE BEZ TWARZY

GEBETHNER I WOLFF
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE
1927



Krakowska Drukarnia Nakładowa w Krakowie.

O ZIEMIO, MATKO NASZA

Wiersz wygłoszony na akademji, urządzonej przez Kraków, ku uczczeniu prezydenta Ign. Mościckiego, z okazji objęcia prezydentury.

O ziemio, matko nasza! twoje imię święte
płomieni się nad nami jak słońce na niebie —
gorzesz w tajni serc naszych ognia sakramentem,
pożywamy cię codzień i w wodzie i chlebie — —

Łona twojego szczepem jesteśmy i płodem,
karmisz nas jak pisklęta stutysięczną piersią —
Matko! dzieci swe w łono chłonąca zpowrotem,
by przez śmierć oddać życiu: wiekuistej pieśni!

Krwi twojej strumień huczy krwią w naszych tętnicach —
jesteś modlitwą naszą i śmiertelnym bojem —
ciszą łanów rodzących: boską tajemnicą —
Niech będzie pochwalone w sławie imię twoje!

Wzięliśmy z ciebie wszystkie radości i bóle:
grają nam w piersiach hymnem i chorałem klęski —
Polsko! twój święty sztandar zszarpany przez kule
niezmożonemi dłońmi niesiem ku zwycięstwu!

Na sercach naszych oprzesz fundamenta swoje —
dźwigniemy cię czarnemi od pracy rękami:
Słowo stanie się Ciałem! — wzejdzie w twórczym znoju
i zamieszka w miłości jak Bóg między nami!

SIÓDMY DZIEŃ

Są dnie tak ciche, tak złote, tak święte
jak uśmiech matki nad dzieciną senną — —
Serce swe słyszysz w głębiach firmamentu —
Nad światem trwa słoneczna Missa Solemnis — —

Czujesz jak ziemia się kołysze na skrzydłach motylich,
jesteś za granicami dobrego i złego:
na powiekach twych palce świętej Cecylji
grają najbłękitniejszą, najcichszą pieśń nieba — —

Z pól zebrano już wszystkie plony przeobfite — —
Na pustych, nieobjętych dalekich przestrzeniach
pod płaszczem z aksamitu, z litych chryzolitów
legł w monarszym uśmiechu siódmy dzień stworzenia — —

DOSTAŁE PLONY

Ewa niesie rajskich jabłek z sadu cały garniec
pełnych słońca, woniejących, czerwonych by krew — —
Jak dalekie wodospady modlą się młocarnie:
czas się spełnił: trzeba ziarno oddzielić od plew — —

Złote lato w branzoletach chodzi z ametystów,
w miękkim pląsie rozkrzyczanych kaszmirowych szali —
Na kalinach, jarzębinach krwawe rany Chrystus
pod narkozę ust oddaje, ust Marji z Magdali — —

WIEŚ

Wieczór jest purpurowy jak wargi kurtyzany,
podkreślone krwawiącym szkarłatem —
Przez liście blask się ściele na lśniący traw aksamit,
by łuny witrażowe na posadzki katedr — —

Bociany na topoli stoją w ogniu całe
jak języki płomienne z nad głów apostołów — —
Dzwon: Anioł Pański:... A Słowo niech stanie się ciałem!
niech wypełni ziarn złotem spichrze i stodoły!

Bezszelestnie mknie gołąb od ścierni rzepaczysk —
Jest cicho, jest dostojnie — żadna trawka nie drgnie —
jeden świerszcz wśród kostrzewy szepcze szczery pacierz
za grzechy swe śmiertelne i grzeszki powszednie — —

Na stumorgowych złotych i srebrnych kwadratach
ogromnej szachownicy łanów nieobjętych
grę skończono: mistrzowskim niespodzianym matem
olśnił świętego Piotra chytry Paweł święty — —

Cicho. W błękitnej piersi niebios bije serce:
to gra na wysokościach motor samolotu — —
O, zwycięski Ikarze! szalonych snów siewco!
królu wichrów — i duszo obłędnej tęsknoty!

WYWCZASY LETNIE

Złote zachody słońca i różane świty
obracają się zwolna jak skrzydła wiatraka — —
Od kart czytanej książki, od nużących liter
oczy wznoszą się w niebo i śledzą lot ptaków — —

Czas stąpa cichuteńko na miękkich podeszwach,
na ścieżynach wśród klombów przechodzi bez śladów — —
Wtulone w popielice lilijowe zmierzchy
szeptają tajemniczo miłosne ballady — —

W korale pelargonij, w pons róż i w sen astrów,
w pomarańczowy uśmiech nasturcyj ognistych,
jak jaśminowe płatki (z dalekiego miasta)
spadają bieluteńkie, prostokątne listy — —

SIERPIEŃ

Popołudnia sierpniowe są uśmiechem śmierci:
patrzą głębokim smutkiem blado-lila astrów,
jak gwiazda brylantowa przypięta na piersi
przez ostatniego władcę z wymarłej dynastji — —

Jest dostojnie i cicho, przeraźliwie cicho,
jak pośród marmurowych, milczących kolumnad,
gdzie w morzu świateł, w kwiatach, w królewskim
[przepychu
podniesiona nad światem milczy złota trumna — —

KOŚBA

Pokos za pokosem — świst kos —
świetlistych węży syk wśród traw —
Kosiarze bose, złocistowłose —
za ciosem — cios — cios — cios — cios —
świst kos —

Ponsowy oset w rosy skrach
lśni wśród traw jak paw,
jak perski, perski szach — szach — szach — szach — szach —

Pokos za pokosem — kosy świst —
aksamitny, cichy cios — —
Kościsty tnie nad mistrze mistrz
kosiskiem długiem na sto wiorst
osty nie osty, kłos nie kłos,
ostrze źdźbła siecze wpół i wćwierć
Strach! strach! strach!
Za ciosem cios,
jak los:
czy pan, czy cham, czy perski szach — szach — szach —
pokos za pokosem siecze Śmierć — — [szach —

SOSNY

Cicho. — Szumią sosny. — W przeźroczym błękicie
zastygła wieczność: sine morze wieków — —
Sosny szumią: jak w cichej zadumie nad życiem
głębokie tchnienie z piersi wydarte człowieka — —

Rozkrzyżowały krwawe konary wysoko
w niebosiężnej tęsknocie bolesnej:
wonna żywica jak krew płynie z rozranionych boków — —
Na wydmie konają sosny — w Pieśni!

Słońce im złotą męczeństwa koroną
upadło płomieniste na czoła:
wznoszą się w wniebowzięciu i nad wydmą płoną
jak purpurowy chorał szkarłatnych archaniołów — —

ZIELONE ŚWIĄTKI NA „PANIEŃSKICH SKAŁACH"

Bolesławowi Wallek-Walewskiemu

A Antek grał na harmonji:
uha!
po srebrnej polanie radosny wzrok gonił:
tańczyły z Krowodrzy, z Zwierzyńca dziewuchy — —
hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/

Tańczyły zielone i graby i buki
a księżyc rechotał, że Antek się upił — —
Skał Panieńskich las
kłaniał mu się wpas —
hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/

Furczały dziewuchom spodnice na wietrze —
pohuki od buka do buka szły w przestrzeń — —
I księżyc czepicę przekrzywił srebrzystą,
przez zęby sykliwie jak andrus se świstał:
hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/

Wśrubował w klawisze opuchłe paluchy —
basami atłasu pół lasu rozdmuchał
i tonem czerwonym szelestnych rejestrów
pierś nocy jak nożem przeszywał naprzestrzał:
hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/

Zziajane stawały z Krowodrzy dziewuchy
siadały odsapnąć chwileczkę pod bukiem —
Na grabie srebrzystym siadł księżyc jak puhacz:
przedrwiwał, pokpiwał, że Antek się upił — —

A Antek grał — wciąż grał —
las Panieńskich Skał
kłaniał mu się wpas
raz-wraz, raz-wraz — —

Wiosna — hej! — wiosna! — buki zielone, buki!
hej, graby zielone, graby!
wami się Antek upił
i grał, grał: —
hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/

Kamienna Madonna zstąpiła ze skały,
Dzieciątko oddała z Krowodrzy dziewusze:
na srebrnej polanie zapląsał Cud biały —
w rączęta pulchniutkie zaklaskał Jezusek — —

Nóżeczki malutkie z pod jasnej sukienki
migały trzewiczkiem: śnieżyste łasiczki — —
Antkowi łzy z oczu, jak gwiazdy przez błękit
spadały w pluszowe kląskania słowicze:
hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/ hop-hop-hop/

GWIAZDY

Gwiazdy są z puchu, z srebrzystego pluszu —
na oczy jak śnieg nieprzerwanie proszą — —

Mają smak kryształowy cukru lodowatego —
całują jak śmierć cicho ustami nieba — —

Chryzantemami kwitną na szafirowych grobach
w śnie o nieśmiertelności pomarłych bogów — —

SŁUPY TELEGRAFICZNE

Bernardino Rizzi'emu

Na szerokim, na bitym gościńcu
telegraficzne słupy w miedzianych wieńcach
trzymając się za ręce
suną w przestrzeń w wichrowym lamencie
dziń~ dźwię~ę ~ ę~ę~czą~ą~ą~ ą~
rozdrganą siecią pają~ę~ę~ę~czą~ą~ą~ą ~
miedzią dzwonią
nad pól monotonją~ą ~ą~ą~
ję~ ę~ę~ę~czą~a~ą~ą ~
wołają~~ kwilą~~
złzawionym tonem wioli
łkającą kampanilą
w jesiennej melancholji

Dudnią głu~u~u~cho, hu~u~u~czą ponuro
brzmieniem basowem gwarzą z wichu~ u~u~rą~
drgają jak ciała rozpięte w męce
ję~ę ~ę ~ę~ ę~ czą~ą ~ą~ą~

Prowadzą cię pod ręce
gościńcem długim, nieskończonym
płaczki pogrzebne, dziwożony
w miedzianych wieńcach
i ję~ę~ę~ę~ę~czą~ą~ą~ą~

JESIEŃ

Płacze we mnie liść każdy co spada z szelestem,
krwawo mnie boli szkarłat gron źrałych jarzębin,
zasmuca pełnych sadów królewski majestat —
jesienny, senny wypłowiały błękit — —

Jestem jak ptak przelotny niepokojem trwożny,
na rozkaz nienazwany gniazdo rzucić gotów,
pełen tęsknoty nieba, przestworów bezdrożnych,
przeczutych, wiekuistych, dalekich odlotów — —

RÓWNANIE ASYMPTOT

Dnie listopada przechodzą we wieczność:
w przeszłość i przyszłość, w łuki hyperboli,
co w nieskończoność pędzą niedorzeczną
jak wpół rozdarty złoty aerolit — —

Serce na krzyżu asymptot rozpięte
spada by kropla w klepsydrze czerwona —
u granic czasu nad ciszy odmętem
jak septimowy rozkwita dysonans — —

W dwie asymptoty, w ramiona zachłanne
darmo chce ująć hyperboli biodra — —
Przyszłość się w przeszłość sączy nieustannie:
nikt nie przestawi klepsydry naodwrót — —

SEN POD ZŁOTOGŁOWIEM

Wtopiona w złoto świateł, w mdłe freski abażurów
jak akwamaryn lśniłaś tęsknotą wód wieczności — —
Ust twoich ostra kresa wichurą tęcz purpury
zamknęła chaos marzeń w Saturna krwawy pierścień — —

Jak ongiś nad chaosem unosił się duch boży
nade mną drżały święte, nerwowe twoje ręce
i trud ich miłosierny na sercu się położył
nad dumą utajonych upadków i umęczeń — —

W ulicach w bławym świcie w lot ptaków się rozprysłaś
co w skrawkach filmu nieba przemknęły bezszelestnie — —
Irysy twoich oczu wykwitły snu kaprysem
na wargach mych modlitwą i nad pieśniami Pieśnią — —

Jak zgubionego szczęścia daleki jasny uśmiech
ton włosów ciemnozłotych we fibrach drżał mych powiek:
pod irysowem niebem w karmazynowym półśnie
umarłem, włosów twoich okryty złotogłowiem — —

KRYSZTAŁY

Napełniłaś mnie sobą jak rzezany kryształ
bezcennem, jak krew ciężkiem, purpurowem winem,
które pod żarkiem słońcem południowem tryska
z jagód fijoletowych łez żywym rubinem — —

Napełniłaś mnie sobą jak olejkiem wonnym
kruż, opalizującą zagasłym turkusem,
z którą szły wczesnym rankiem trzy święte Madonny
namazać jasne ciało zmarłego Chrystusa — —

POŻEGNANIE

Cisza jak szary strusi puszysty pióropusz
opadała z powały na fiolet półmroku — —

Na miękki bledziuteńki włosów twoich topaz
pocałunek rozłąki jak martwy liść opadł — —

Otuliłaś mnie słodkiem ukojeniem ramion
jak białemi skrzydłami litościwy anioł — —

Nad dumną ciszą mojej bolesnej udręki
zakwitł twój dobry uśmiech, łagodny jak błękit — —

W otchłaniach horyzontu smutnego odjazdu
drżą w łzach źrenice twoje jak dwie jasne gwiazdy — —

Jak motor samolotu rytmicznie tętniący
w błękitnej piersi nieba o zmierzchowej ciszy —
serce me bije pieśnią w tobie, mojem słońcu:
serce dzikie — a tobie uległe jak wyżeł — —

Jesteś pieśnią radości jak rozgwizdy ostre
wszystkich fabrycznych syren przed największem świętem,
co niosą się rozgłośnie, szeroko na wiorsty
przez wieczorną zadumę cichych firmamentów — —

Z głębin czerwonych nocy ślę radjodepeszę
o cud twojego ciała krzykiem bezpamiętnym:
„Spłyń Biała Gołębico na mnie ognia dreszczem —
zakwitnij krwi płomieniem we mnie jak Duch święty!"

Kiedy, jak łódź podwodna osuwam się w głębie,
w zadumę, śledząc serce, jak szkła periskopu —
o dobroć rąk liljową, o czar ócz gołębich
modlę się, najjaśniejsza z moich białych bogów — —

I płyną ku mnie zdali przez bezmiar przestrzeni
we fioletowych falach łzy cichych ukojeń:
dwie smugi reflektorów twych fiołkowych źrenic
uciszają narkozą opjum serce moje — —

LINJE HIEROGLIFÓW

Jakże boskie są twoje w kwiat rozkwitłe ręce,
żył ametystem zwite jak siatką pajęczyn — —

Kwitną na moich ustach jak lilij kielichy —
gwieżdżą się ponad sercem jak śnieg białe, ciche — —

Przy uszach grają niczem rozdzwonione muszle —
skroń pieszczą jako skrzydeł serafinów muślin — —

Z ostrzy paznogci, z bladoróżowych sztyletów
na powieki me sączą balsamiczny letarg — —

Na szalonych warg moich przyciszony wicher
kładą się dłonie świętą linją hieroglifów — —

KRAKÓW Z ZYGMUNTOWSKIEJ WIEŻY

W renesansowem oknie, wysoko nad miastem
łopotało twe serce jak sztandar na wietrze — —
We mgłach seledynowych, puszystszych nad pastel
grała cicho jak harfa złotostrunna przestrzeń — —

Oczy twe: śmigła para niebieskich gołębic
trzepotała się w rzęsach nad wież iglicami — —
Nad ustami twojemi, nad krasą jarzębin
chyliła się pieśń nieba, miękka jak aksamit — —

Wichr z Beskidów jak jastrząb wprost w pierś twą [uderzył —
śmiech twój szkarłatnym tonem w symfonji rozdźwięczał:
złote miasto i niebo, z okna szczytu wieży
przekreśliła ust twoich purpurowa tęcza — —

SŁONECZNE SCHERZO

Twój list:
wyłowienie z głębinowych odmętów
mglic jesiennych miasta,
z pod ślepi latarń: martwych dyjamentów,
w których żeruje polipia hałastra,
gdzie jak nitka przez igłę, przez otęcze łun kół
przewleka się tramwajów śmiertelne rzężenie
z okiem rozwartem w trwodze (krwawem jak karbunkuł)
na linij równoległość — wieczność — nieskończenie — —
Twój list:
z dna głębin wyłowienie serca
na słońca pijany chlust
pod piorun twoich ust,
śmiejących się zygzakiem scherza — —

Twój list:
szklanka mroźnego napoju
po straszliwej reducie, gdzie śmierć pod dominem
przesunęła się zbliska, z śmiechem u podwojów —
szklanka, spełniona łez lodowych winem,
w którą wyciskam mocno jak cytrynę
twe serce — (po reducie o piątej nad ranem)
i wychylam zachłannie jednym mocnym haustem:
Piszesz na moich źrenic szkliwie obłąkanem
swój list zygzakiem scherza, płomienia inkaustem — —



KRZYSIA MÓWI:

W mym pokoiku nigdy niema słońca,
srebrnoliljowe pełgają półtony —
zmrok mi łzą ciszy, na rzęsach wiszącą
kładzie w rytm serca czar sennych canzonet — —

Gwiazd światło ciało chłonie me jak kryształ,
ciemnoczerwonem napełnione winem —
w ramy witrażów żyłek ametysty
ujmują miękko purpurowe sny me — —

Życie me wzięłam w nawias jak w algebrze,
przed którym niema plus ni minus znaków — —
Jestem bezcenną minjaturą w srebrze,
zdjętą z lśniącego rycerza szyszaku — —

Mówi poeta, że w mych linjach ciała
zaklęta wiara dzisiejszej epoki —
że jak dziewanna śmigle wybujałam
tęsknotą słońca ze serca proroków —
jak te postacie z przenajświętszych legend
ze Santa Croce, z Giotta malowideł — —
Że kwitnę dziko pod północnem niebem,
jak anemiczny, cieplarniany migdał — —

ZAZDROŚĆ

Pocałunki mi wasze zapadają w serce
jak lśniące Judaszowe srebrniki dźwięczące — —
Oplatacie me skronie róż cierniowym wieńcem,
podając w białych dłoniach gorzką żółć i ocet — —

Oddaję wam swe usta z ogrojca schodzący
pośród arcykapłańskiej, orężnej czeladzi
i mówię do was każdej, z którą usta-m łączył:
nim trzeci kur zapieje każda z was mnie zdradzi — —

WIELKI POST

W mętnej mgle, jak w oparach nasennego opjum
szedł mrok pijany, łzawy po dwóch trotuarach — —
W otęczach lamp drżał srebrny rozpylony popiół,
jak pieśń krwi wkrąg lampjonów szkarłatnych maskarad —

Dzisiaj, we Wielkim Poście zmrok na smutno spił się,
na dusze ludzkie luto popłakiwał łzami —
umywał grzeszne ręce w serc cynowej misie —
smęt mgieł przez pierś przesuwał miękko jak aksamit — —

Drżało twe nikłe ramię, jak pacierz żebraczy,
twarz zaciemnił hieroglif pocztowej stampili —
Uśmiech twój był jałmużną: na histrjona tacę
rzucony litościwie srebrnodzwonny szyling — —

List będziesz pisać? Komu? — Pod czyjeś on palce
upadnie bieluteńki płatkiem jaśminowym:
litery twe strzeliste i ostre jak lancet
poniesie uskrzydlony rytmiczny kół skowyt — —

Krew nam nie wydzwoniła pieśni karnawału
a smutek mgieł popiołem czoła nam przyprószył
i serca spowił gorzki łez liljowy całun,
jak krzyże na ołtarzach w wielkopostnej ciszy — —

Pójdziemy w nasze wnętrza w fiolet rekolekcyj
i u świętego ognia ponad palm płomieniem
podamy sobie ręce: dwoje smutnych dzieci —
ty mnie, ja tobie ciche dając rozgrzeszenie — —

Ucałuję ócz twoich stulone powieki:
atłasowych baź ciepłe, blade ametysty
i z serc się naszych wzniesie w modry ranek kwietni
u drzwi niebios radosne, gromkie: „Lumen Christi!"

W WIELKI PIĄTEK

Żebra gotyckiej nawy jak jastrzębie szpony
zwisły drapieżnie nad twą umęczoną głową — —
Mrok chustą Weroniki litośnie osłonił
bolesną twarz Chrystusa w koronie cierniowej — —

Leżał na ziemi cicho na krzyżu rozpięty,
pod nędznych ust miłosierdzie oddając ran kresy — —
Do krynic krwi się modliłem do warg twoich świętych,
które gorzkim uśmiechem zranił żółci przesyt — —

W dniu rachunków sumienia nie byłem bez winy,
raniłem cię złem słowem: nieopatrzną strzałą — —
Modliłem się do ust twych krwawiących rubinów,
by Słowo przebaczenia Miłością się stało — —

Do grobu Chrystusowego wiódł nas las azalij
i wąwóz łez pokutnych: liljowych hiacyntów — —
Szłaś ze mną jako Marja bolesna z Magdali,
zatrwożona nad serca tajemnicą świętą — —

CZERWONY BAL

Ścinane przez pół twarze wichurą taneczną
krążyły jak planety w kandelabrów złocie — —
Aksamitna noc cicha zasłuchana w wieczność
senne dłonie złożyła na gwiazd kołowrocie — —

Skrzypce w pieściwy jedwab otuliły serca — —
Grzmi mazur w amarantów owity sztandary!
Stuletniem krwawem winem przy gasnących świecach
kreśli czerwona ręka: „Mane - tekel - fares“ — —

Biała markiza z paziem marzy na balkonie — —
Krwawy świt Marsyljanką buchnął w błękit siny:
przez srebrne włosy tchnieniem czerwonem przewionął,
w róży brylantów zagrał błyskiem gilotyny — —

Księżniczko! o oczętach z dużych czarnych pereł,
przystępująca codzień do Komunji świętej
patrz! za tobą się snuje uśmiech Robespierra,
w słoneczno-opalowych mgłach twych sentymentów — —

Jesteś przedziwnie dobra, miłosierna siostro!
Pięcioramienne gwiazdy: umarłe twe ręce
wezmę jak sen przesmutny bieluteńkich astrów:
płatkami śniegu cicho położę na sercu — —

Krew twoja kwitnie różą w zamrożonym winie:
ściekła uśmiechem świtu po żelaznych rękach — —
Piję do dna! — i lodu kryształy w rubinie
miażdżę jak stal sztyletu w twardych, wilczych
[szczękach — —

PROSTE SŁOWA

Tak bardzo bije mi serce, gdy na ciebie czekam:
hymnem radosnym dzwonów wita cię zdaleka — –

Padłaś we mnie jak w rolę ziarno przenajświętsze:
żyjesz krwią i miłością jak płód w mojem wnętrzu — —

I ty mnie karmisz ciałem swem jak świętym chlebem,
spojrzeniem dobrych oczu otulasz jak niebo — —

Jesteś radością moją i miłości bólem:
tkliwie jako dziecinę do piersi cię tulę — —

Mówię do ciebie zawsze w słowach bardzo prostych,
jak mówi się do matki, kochanki i siostry — —

Rozkwitasz w ciszy słońca śnieżnobiałym głogiem —
i oprócz Boga z nikim nie mówię o tobie — —

HYMN O MIŁOŚCI

Ciszo, idąca w słońcu nad snem zbóż kwitnących!
Upojny lip zapachu: szmerze złotych włosów — —
O usta miłowane, usta miłujące!
Uśmiechu, pocałunkiem przykryty niebiosów!

Modlitwo krwi! korono cierniowa mej dumy!
Wężu, śniący bezpiecznie w trwodze mego serca!
Krzyku głuchej boleści, któryś we łzach umilkł:
o, tęczo siedmiobarwna nad krainą śmierci!

Straszliwa biała pycho dziewiczego ciała!
Szyderczy śnie zwycięstwa! beznadziejna klęsko!
Złota pieśni, szumiąca na zatrutych strzałach!
Klątwo niosąca w darze łez błogosławieństwo!

Dyjademie płonący nad tragedją życia:
pocałunku anioła na skazańców czole!
Różo, krwią pulsująca: bolesnem serc biciem —
słodka jak rozkosz bólu i rozkoszy boleść — —

Brocząca nieustannie miłościwa rano!
Gołębico w płomieniach, ptaku rajskich włości!
Bolesny śnie-uśmiechu świętych Sebastjanów!
Błogosławiony ból twój, najświętsza Miłości!

ŚWIĘTA SALOMEA

Lilji wykwitasz bielą w witrażowych szybach!
Łuki sklepień gotyckich zadumanych katedr
schylają się nad tobą jak motyle skrzydła
nad najpiękniejszym kwiatem — —

W śniegu lilij jawisz się święta Panno!
Uśmiech twój rosą niebieską na duszę upada:
Strzelistą jesteś, złotą, jako kwiat dziewanny!
jesteś harfą grającą na kwitnących sadach!

Wiją się twoich ramion węże płomieniste
wznoszące z złotych lilij burbońskich Koronę:
pali się krwią rubinów, lśni w diamentów iskrach
Korona w łzach pacierza, w Zmartwychwstania gromach!

Nad radością serc naszych wznosisz ją Panno święta!
Nad ziem polskich hosanną, co pod błękity bije —
Liljo! w lilijowych niosąca rączętach
z złotych lilij burbońskich płomienną Relikwję!

ŻÓŁKIEWSKI

Hetmanie! — Orle o żelaznych szponach!
Wichrze i Gradzie — boża Błyskawico!
Płaszczu purpury na Polski ramionach —
Mieczu święcony w sławie i krwi zwycięstw!

Słupie ognisty na bitewnych szlakach —
Gromie na kopjach pędzącej husarji!
Glorjo lecąca nad łuną szyszaków —
Pieśni i Sławo szumiących sztandarów!

Głowo owita cierniową koroną —
Roso czerwona cecorskiego pola!
Stosie ofiarny coś w piorunach spłonął —
Trumno w szkarłacie — co gromi i boli!

Legendo złota załzawionych źrenic —
Spiżu kwitnący sławą i honorem!
Hetmanie! Rzuć nam jako chrzest płomieni
na pierś twój krwawy sztandar z pod Cecory!

ODEJŚCIE

Lilje grają w słońcu śnieżyste swe scherzo
u ścian białego dworu. — W lilijowych pieniach
jak cień zawisa cicho, boleśnie nad sercem
smutna jak wieczność dusza Szopena — —

Dziś wyniesiono trumnę. — Wspomnienia dalekie:
długi i twardy żywot, święty dopełnieniem —
i ojce z napoleońskiej legendy przed wiekiem —
Racz im dać Panie w sławie wieczne odpocznienie!

W narożnem oknie jeszcze firanki zsunięte
drżą... Nocą tam żółte płonęły gromnice — —
Róże pną się ku oknu w zadumaniu świętem
nad tajemnicą ziemi: wszechwiedzącem życiem — —

Cisza na wargach legła tak ciężka jak ołów — —
Lilje grają w słońcu śnieżyste swe scherzo
u ścian białego dworu. — Złotoskrzydłe pszczoły
całują lilij serca — —

WIARUS Z „WARSZAWIANKI"

Ukochanemu artyście L. Solskiemu

We łzach cię widzę — czuję w skurczu serca,
jak wchodzisz — widmo dywizji wyciętej:
białe wkrzyż pasy na skrwawionych piersiach —
schlapane błotem łachmany i strzępy — —

Czapa — karabin — buciory piechura —
białe wkrzyż pasy przez sprężoną pierś —
wąsiska mroźną rozwiane wichurą —
w znużonych oczach krótki raport: śmierć!

Po gościńcu wiodącym po Sławę,
po gościńcu dla białych rumaków
sam wracałeś milczący i krwawy
z pod zszarpanych lawiną kul znaków — —

I wodzowi co gadał z popiersiem cezara,
słuchając nowej pieśni pana Delavigne
cisnąłeś w ślepia twarz swą kamienną i szarą!
w milczeniu twem krzyczały plamy skrzepłej krwi!

Musiały twą dywizję zaorać kartacze! —
Wiarusie! — bo nie byłeś ty „jego" żołnierzem —
bo go pycha za gardziel dławiła sobacza:
nad grobami waszemi śnił z Sławą przymierze — —

Wiarusie! nad snem moim w milczenia swej glorji
stoisz, krwawiącej Polski straszny anioł-stróż! —
we łzach cię chłopca widzę, z wysokiej galerji
spadających wdół w loże na szkarłatny plusz — —

ZMIERZCH NAD SODOMĄ

Włodkowi Poźniakowi

Nad miastem mrok się chyli: mnich w kapturze burym
przesuwa w palcach lamp długi perłowy różaniec,
wargami trotuarów w dwa szepczące chóry
odmawia senne requiem światłu na skonanie — —

W ulic dal, w perspektywę, jak w leje klepsydry
suną z szmerem wdół ziarnka czerwone: tramwaje —
wieżyca zegarowa tkwi w niebie jak wytrych
w nieotwieranej bramie kraju rajskich bajek — —

Nędza na krzyżach ulic klińcami rozpusty
przybita, wykrzywionym uśmiecha się licem:
w mgle jak fatamorgana czarnych nocy pustyń
opada aureola na skroń męczennicy — —

STÓJKOWY

W dzień i w nocy na ulic rozstrzale
daszkiem lśniącym przybity by ćwiek,
w szyn przecięciu jak w ramach ze stali
stoi szary, beztwarzowy człek — —

Człowiek z liczbą na szarym kołnierzu:
cztery-zero-siedemdziesiąt-pięć —
rozpryśnięty w setkach egzemplarzy,
jak z zbitego termometru rtęć — —

Omijają go tłumem przechodnie,
w wylot ulic wpadając i skręt,
jak znajomy, oglądany co dnia,
wyszarzały, bezpotrzebny sprzęt — —

Omijają go z hukiem tramwaje,
krwawe ślepia limuzyn i aut,
w srebrnych blaskach elektrycznych bajek,
mknących cicho na koncert lub raut — —

On, jak niemy dyrygent orkiestry,
ręką kreśląc tajemniczy znak
zwalnia ulic obłąkane presto:
miast arteryj arytmiczny takt — —

W późne noce w słocie i wichurze
obok rynien bełkoczących paszcz
stoi cichy skulony przy murze,
w ceratowy owinięty płaszcz — —

Biją głucho na wieżach zegary —
serce, serce skowyczy jak pies:
na kamienie zimnych trotuarów
upadają krople człeczych łez — —

Lecz w obchody, w uroczyste święta
tuż, tuż przed nim, wstrzymującym tłum
przemknie powóz pana Prezydenta
w atłasowem zaszumieniu gum — —

I w dniu takim białą rękawicą
lśni by gwiazdą nad szarzyzną głów —
chodzi dumny jak paw po ulicach,
co sto kroków: dwóch — po dwóch — po dwóch — —

Ale kiedyś czy później, czy wcześniej
przyjdzie jeden z tych czerwonych dni,
kiedy z ulic buchną salwy pieśni
z pod sztandaru o purpurze krwi — —

Wtedy tłumu, podniesiona wgórę
nie zatrzyma nawet twoja pięść —
Buty wbiją w kamienny bruk numer:
cztery-zero-siedemdziesiąt-pięć — —

GAZECIARZ

Z pod linotypów, z paszcz rotacyjnych maszyn,
z pod zgrzebnych palców, które ołów żżarł —
codnia się rodzą w miljonach egzemplarzy
miast dusze w łamach szeleszczących kart — —

Wilgotne jeszcze od drukarskiej czerni
o stu tytułach krzyczących z nad szpalt
z pod bram redakcyj o świcie codziennie
wzlatują jętki-jednodniówki w świat — —

„Kur-j-e-e-r!“ — grzmi — „Kur-j-e-e-r!“ w ulice półpuste
w bosym tupocie zabłoconych nóg — —
Biegną — grzmi „Kur-j-e-e-r! w zadyszanych ustach —
pędem we dwójkę — kto pierwszy — na róg!

Wiszą na stopniach huczących tramwajów
z pytaniem w geście dygoczących rąk —
wpadają w nudę rozespanych kawiarń,
między krzesłami wirując jak bąk — —

Pisma — pisemka — dzienniki stołeczne
ni okwiat sadów upadają w tłum,
jak radość kartek drżących na powietrzu
ze samolotu spływających wdół — —

Z biur telegrafów i z iskrowych anten
zmiecione wieści od biegunów wszerz
po nerwach kablów mknące przez Atlantyk,
falami w niebo słane z radjo-wież — —

Tłuste tytuły ostatnich sensacyj,
repertuary teatrów i kin
i dział ogłoszeń: „Poszukują pracy...
Pies... numer marki... Auto... Handel win..."

A tamci brudni rozkrzyczeni malcy,
z trudem liczący biedniuteńki zysk,
precz odrzuceni, jak z nerwowych palców
wypadłe świstki przeczytanych pism — —

W śliskich rynsztokach, na targowych placach
leżą splamione strzępy martwych kart — —
W nory przedmieścia cień skulony wraca:
nędzarz-bosonóg owinięty w wiatr — —

Aż dnia pewnego z gazet wielkim drukiem
spadnie na miasto sensacyjna wieść:
„...znany fabrykant... chłopcu z rogu Długiej...
...cały majątek.,. i miljonów sześć!!!

I w ten dzień właśnie pod cmentarnym murem,
notarjusz, kołnierz podniósłszy na deszcz,
na małą trumnę sensacyjny „Kurjer",
niby klepsydrę położy nawierzch — —

MOTORNICZY

Z szumem i hukiem ulicami miast
po błyskawicach jarzących się torów,
wśród długich linij elektrycznych gwiazd
suną tramwaje: bryzgi meteorów — —

Cyklopich ślepi wdal rzucony blask
mknie po źrenicach kamienic posępnych —
z pod kół się sypie trzask fiołkowych drzazg —
ulica szumi, gra jak pulsów tętno — —

On, motorniczy wozu Nr. 3
wpadł w dwie pętlice zarzucone na tor,
prąd o tysiącu Volt mu w nerwach drży
i spływa w serce jak w akumulator — —

Oczy wbił w przestrzeń, w szarugi i dżdże
i gna po jednych tych samych ulicach,
wciąż zacieśniając, zadziergnięte dwie
na suchej szyji stalowe pętlice — —

O, ileż razy, mknąc na pełny prąd
w krańce przedmieści chciał wyjechać z torów
na miękkie dale rozkwieconych łąk,
wtopionych w ciszę letniego wieczoru — —

I znów powracał w szarych murów pleśń,
znów mijał rynku kamienny prostokąt,
nucąc crescendo kół żelazną pieśń
ludziom jadącym wszystko jedno dokąd — —

Aż kiedy będzie przez śniegowy puch
w noc wigilijną pędził ku remizie
z pustego wozu kontrolor, jak duch,
w fraku, w lakierach do niego się zbliży — —

O bilet jazdy spyta pierwszy raz...
(„Motorowemu rozmawiać nie wolno!“)
w nagłem zdumieniu spojrzy z boku w twarz:
Chryste! — śmiech trupi nagiej szczęki dolnej...

Myśl! błysk! hamulec! — ostatnie: Dz-y-ń... dź-y-ń!
ręką za serce! — zwiśnie na motorze —
i tramwaj z trzaskiem wyleci ze szyn
jak spadający z drzewka złoty orzech — —

JOCULATOR DEI

Emilowi Zegadłowiczowi

Miasto śpi. W głuchem echu umęczonych kroków,
w mżach przygaszonych latarń, w jesiennej zawieji
idzie on, pogrobowiec błaznów i proroków,
cień Franciszka z Assyżu: Joculator Dei — —

Jeden z tych, który słyszy umarłe kamienie,
któremu bratem słońce, człowiek i stwór każdy
i On, na szczytach świata, co długiem ramieniem
jak latarnie zagasza i zapala gwiazdy — —

Gromy bożego Słowa piersi mu druzgocą —
palce na wiciu wieńców cierniami róż skrwawił:
na dusz kamienny smutek uśmiech rosy roztrząsł,
serce rozdał jak osiem cichych błogosławieństw — —

A cień nad miastem wieje w skrzydłach nietoperzów,
ziarno radości pada na twardą opokę:
darmo gburom pod stopy słać tęcze Przymierza,
darmo w opasłe serca rzucać siew proroków — —

Nie starczy życia! Lata zostają poza nim,
by głazy czworoboczne szarych trotuarów —
tylko mu w piersi Miłość gra jak on Sakrament
w Podniesieniu, łask darem spływający w naród — —

Nie starczy życia! Wszystkie zdziałania i pieśni
toć ułomki na brzegach księgi niepowstałej,
której karty w purpurze marzenia wypieścił
i rozpoczął zaledwie pierwszym inicjałem — —

Stanął u drzwi kościoła. Jakiś szary człowiek
nalepia klepsydr płachty w kart miętych szeleście:
z wiadrem kleju i z półsnem u znużonych powiek
krąży jak widmo śmierci nocami po mieście — —

Ten to kiedyś z za węgła wyjdzie mu naprzeciw,
ni Weroniki chustą twarz kartą obetrze:
czarny pot w bezsens liter klepsydry się skleci,
w imię... nazwisko... w wszelkie zewnętrzności człecze — —

Śmiać się będą, z kościołów, od ucha do ucha
w smutne miasto, na odrzwiach rozlepione twarze
dni parę opowiadać, nim je spłucze plucha,
że... od dzisiaj... we wielkim gra repertuarze...

Kroczył dnia powszedniego drogą ku Golgocie —
Wesołkowemi dzwonki budził serca martwe — —
Dziś mu w kinkietach płonie gwiazd jarzących krocie
na rotacyjnej scenie wszechświata teatru — —

OSTRE POGOTOWIE

Arterją z serca miasta waliła czarna lawa,
giełd i kościołów liżąc potężne, mroczne mury —
wicher się twardej pieśni po blokach głów przewalał,
ogniste chwiał języki szkarłatu i purpury — —

Goździków krwawe gwoździe wbite do czarnych piersi
migały gwiazd bezlikiem na czarnem niebie tłumu —
czerwony krzyk sztandarów uderzał w słońca pierścień,
drżał nad sercami burzą i sępich skrzydeł szumem — —

Obłęd w struchlałych domów tysięcznych grał źrenicach —
marł mur od ran czerwonych: afiszów plam na rogach — —
Kamiennem pełzł korytem — o stutysięcznem licu
tłum w całopalne serce purpurowego Boga — —

Na ogromnych podwórzach, martwych nazewnątrz koszar
trwały bez ruchu złomy ponurych bataljonów:
purpurowego Boga śmiech na bagnetach gorzał —
jak chichot kulomiotów szczekały telefony — —

CMENTARZ W GORLICACH

Jakże równo stoją krzyże
na tym ogromnym cmentarzu?
kompanje, bataljony,
dywizje, armje krzyży żelaznych — —

Pacierze świerszczy wiszą w jasnej ciszy,
wonie biją ku słońcu, jak dym z trybularzy —
maj tryska z ziemi arteryj czerwonych
i kwiaty błyszczą na grobach, jak gwiazdy — —

Tędy szedł front oplecion w drutu kolce,
w cierniowy wieniec, wtłoczony w piersi ziemi —
stąd huczał w świat upiorny armat koncert,
błyskami łun twarz nocy krwią rumienił — —

Odtąd szedł front — przez serca szedł człowiecze,
przez miłość serc — bezbronną miłość świętą,
w płomieniach wiał modlitew i złorzeczeń,
przez bólu skurcz, jak oszalały tętent — —

Jakżeś sobie równiutko zawiesił — mój Boże —
żelazne krzyże na jeneralskim, czerwonym mundurze?
Słyszysz? — ta czarna pani... z dalekiej, z dalekiej podróży
z szlochem w obcej mowie mówi do Ciebie: „Vater unser..

ŚMIERĆ

Poszukiwałaś mnie zawsze telegramem
ile-m-kroć razy odjeżdżał na front —
(telegram nigdy nie doszedł) —
po latach ktoś o tem mówił: Szukał mnie nad Sanem
telegram twój — zawsze na pozycjach straconych —
a ja byłem daleko, daleko stąd
na lodach Alp, we Włoszech —
na Monte Pertica, Monte Asolone — —
Wiedziałaś dobrze o tem!
Podpisywałaś się stale fałszywem imieniem — —

Pierwszy raz cię widziałem w grozie potęg,
w ogniu huraganowym:
Wąwóz się pienił
krwią i mózgiem powalonych ciał —
granatów bryzgał gruz —
basowe gromy dział —
żółty, trujący gaz!

Wąwozem przez bluzg krwi, przez skurcz ciał, przez mózg
w galopie koni, w napięciu rzemieni —
żelazne koła przez pierś, przez twarz
w grzęźnięciu, chrzęście i zgrzycie
(śnieg i Bóg się rumienił!)
artylerja zmieniała pozycję — —

Po drugiej stronie, otulona w selskin
stałaś ty — od telegramów Pani — —
Uśmiech twój: obłęd niebieski
w twarz mnie pociskiem zranił — —

Potem widywałem cię częściej,
gdy bombą siedemdziesięciopięcio-
kilogramową samolot raz-wraz
jak pięścią
prał w głaz — —

Spostrzegłem, że chodzisz w maleńkich lakierkach
że na pobojowisku całowałaś trupy — —

Ostatni raz... kiedy się piąłem na Gierlach —
tak!... to był twój ślad w śniegu lodowej skorupie — —

Przed paru dniami list otrzymałem z Włoch —
że mnie tam poszukiwał znów pilny telegram —
a dziś nagle w ulicy spotkał mnie twój wzrok:
serce zagrało fugą fioletu na żebrach — —

Goniłem — znikłaś. — Na śniegu maleńki
ślad. — Poznałem, jak as tref tkwił w pasjansie kart — —
Wiem, już wiem! — przyjdziesz, owiniesz mnie w błękit
i przykryjesz sztandarem purpurowych warg — —

ŚWIĘTY BOŻE

Jakąż straszliwą nędzą i rozpaczą
krzyczy ponury chorał o Twe zmiłowanie!
Jakże okropnie słowa te krwawią i płaczą:
„Od powietrza, głodu i wojny zachowaj nas Panie!“

Czy Ty wiesz jak żre wnętrze czarny ogień głodu —
jakim obłędem patrzy podły strach przed śmiercią?
jak brzmi nędzna modlitwa o kropelkę wody —
jak ciąży bratnia kula w konającej piersi?

Czyś Ty słyszał Zakryty skrzydłami cherubów
jak skowyczy za synem, za mężem niewiasta?
Czyś Ty żebrał upiorem ludzkiego kadłuba
z rąk i nóg odartego przy rynsztokach miasta?

Wyją Twój czarny chorał. — Nędzarze, nędzarze!
Słucham go zawsze z trwogą — o nich, z serca
[skurczem —
Pali mnie żywym ogniem rumieniec na twarzy
ciemny rumieniec wstydu — za Ciebie, o Stwórco!

PISMO ŚWIĘTE

Jak ostromleczu puch, zdmuchnąłeś radość we mnie:
zatrzasłeś kratą gromów wrota złotego raju —
przekleństwa drogę głogiem znaczyłeś i cierniem,
pędząc mnie krwawym biczem sodomskich pożarów — —

Uciekłem w ciszę pól od słów Twojego Pisma
sycić się ciepłem słońca i pić niebieską rosę:
cień Twój jak sęp ponury nad ziemią zawisnął,
oparty skrzydłem o horyzonty niebiosów — —

Po aksamitach zbóż snują się smutki moje
jak odtrącone przez Ciebie anioły:
w serca samotny, bolesny ogrojec
gorczycę wsiałeś i piołun — —

SPOTKANIE W POLACH

Tu się spotykam z Tobą twarzą w twarz
w słońcu, we wichrze, w aksamitnej runi —
tu nad mem sercem nieprzerwanie trwasz,
jak pieśń skrzypcowa, zciszona przez tłumik — —

W żywej Twej piersi zapuszczam korzenie
skarlały wielce, schorzały Twój szczep —
czuję krew Twoją, jak ognia strumieniem
dźwiga mnie w błękit — w ciszę wolnych nieb — —

Słonecznym błyskiem, jak ostrzem topora
odcinasz każdy zbyt przyziemny pęd — —
Ogniem krwi Twojej rozkwitam na koral,
w słońca komunji śnieżę się nad śnieg — —

I jestem prosty jak prosty jest krzyż,
błogosławiący swe własne rozdroża — —
Palcem w mem sercu, jak gwóźdź w ranie tkwisz —
osamotniony na szczytach gwiazd, Boże!

HYMN RADOSNY

Pochwalony bądź Stwórco w krwi żywej strumieniu,
bijącym w każdej wiośnie z Twojej piersi: ziemi!
Pochwalony bądź w cudzie radosnych Przemienień,
w wiekuistem wznoszeniu hostji słońca w zenit — —

Pochwalony bądź w kwiatach szeroko rozwartych,
które zamienisz w życie skrywający owoc —
w tchnieniu płuc Twych wszechmocnych, wskrzeszającem
[zmartwych —
w sile, co w żywe Ciało przyobleka Słowo — —

Pochwalony bądź w ustach czerwonych dziewczyny,
z których pić dajesz słodycz aż do upojenia —
w drżeniu biódr, zróżowionych krwi ofiarnej dymem,
modlących się o święte misterjum tworzenia — —

Pochwalony bądź w wiośnie i życia radości
Stwórco, w którego krążym arterjach tętniących,
wokół wielkiego serca, co w głębi wieczności
bije prawiecznem źródłem i płonie jak słońce — —

NA START WIECZNOŚCI

Wrastasz we mnie jak w dębu koronę jemioła:
posiała Cię tęsknota do Twych dalekich gwiazd — —
Padł w moją duszę łuną z za skrzydeł aniołów
żywota Twego twórczy, przeraźliwy blask — —

Czuję, żeś głodne tętna w bicz żył moich worał,
żeś korzenie w me serce bezlitośnie wbódł
Ty, który wszechpotęgi prawiecznej upiorem
unosiłeś się ongiś nad chaosem wód — —

Legnę pod Tobą — na śmierć zajeżdżony rumak:
w obłędnym pędzie na start wieczności mnie gnasz —
gdzie jak miecz płomienisty na żywych piorunach
wisi nad wszechświatami Twa straszliwa twarz — —

ŚWIETLANY ŁOWCA

Chwytasz mnie siatką w locie jak motyla,
co wiotkie skrzydła na wietrze rozpostarł — —
Cóż umknie ręce długiej na mil miljard?
Któż minąć zdoła wieczności Twej potrzask?

Wzlatuję w słońce, ku sercu wszechświata,
wiecznie ścigany oczyma Twojemi — —
Jak płochy chłopiec na szkarłatnych kwiatach
siatką mnie nieba przytłoczysz do ziemi — —

Chwilę się będę w dłoniach Twych trzepotał,
aż mnie źrenice Twe światłem urzekną —
wbity na gwiazdę jak na szpilkę złotą
skrzydła w bezruchu wyprężę przez wieczność — —

ZŁOTYM ŻWIREM W OCZY

Napełniłeś mnie ciszą jak przestwór gwiazdami
otuliłeś mnie nocą miękką jak aksamit — —

Leżę jak kamień na dnie niebios oceanów,
tryskających w Twą brodę mlecznej drogi pianą — —

Jest chwila, kiedy nasze zewrą się źrenice
w bezczasie w bezprzestrzeni, w pustce, ponad życiem — —

Wtedy sypiesz mi w oczy żwir złocistych liter,
w któreś rozbił płomienną pieśń aerolitów — —

Zaskrzył mi się Twój w niebie samotny ogrojec:
nie wiem, czyli go łzawią łzy moje czy Twoje?

OSTATNIE WAKACJE

Próżno przerzucam „Rozkład jazd",
nazwiska setek stacyj,
bo do Twych srebrnych chcę jechać gwiazd
na cały czas mych ostatnich wakacyj — —

Znużył mnie bardzo i znudził egzamin
z życia, na jeden wiecznie tensam temat
i śmiech radości na wargach mych zamilkł:
smutną jest ziemia!

Przyjmij mnie Panie do Twojego stołu —
napełnij serce znowu entuzjazmem
i wpośród wielkich Świętych i Aniołów
uczyń mnie w łasce nadwornym Swym błaznem!

W ŚRODĘ POPIELCOWĄ

Nie jestem proch i w proch się nie obrócę —
w piersiach mi gra nieugaszony bunt —
czerwony wichr płomieni huczy w płucach
i serce żre nienasycony głód — —

Na czoło me, dziś z niebios wyciągnioną
prawicą Swą sypiesz mi szary pył — —
Nie jestem proch! — Patrz, z głową podniesioną
idę wprost w Śmierć: płynąć w krwi Twoich żył — —

Ja jestem z tych, którzy wszystkiemu przeczą — —
Serce Ci drgnie w ciszy zmartwiałych gwiazd:
gangreną krwi strawi Cię ból człowieczy —
pociekną łzy przez spopielałą twarz — —

INWOKACJA

Operatorze
z kinoteatru wszechświata,
który wyświetlasz wieczny film —
zerwij taśmę!

W soczewce słońca serca Twego pożar
gaśnie!
Na niebie za kilka chwil
skrzydła rozpostrze szatan!

Nie chcemy snuć się już dłużej
w ramach Twojego ekranu —
to nuży, śmiertelnie nuży:
pięćdziesiąt seryj tychsamych!

Operatorze! — zerwij pasmo!
puść w wir zawrotny walce!
Światło, światło, światło rozjaśnij!
My także chcemy wieczności taśmę
owijać wokół małych palców!

SPIS RZECZY

O ziemio, matko nasza 5
Siódmy dzień 6
Dostałe plony 7
Wieś 8
Wywczasy letnie 9
Sierpień 10
Kośba 11
Sosny 12
Zielone Świątki na „Panieńskich Skałach“ 13
Gwiazdy 15
Słupy telegraficzne 16
Jesień 17
Równanie asymptot 18
Sen pod złotogłowiem 19
Kryształy 20
Pożegnanie 21
Fiołkowe reflektory 22
Linje hieroglifów 23
Kraków z Zygmuntowskiej wieży 24
Słoneczne scherzo 25
Krzysia mówi: 26
Zazdrość 27
Wielki post 28
W Wielki Piątek 30
Czerwony bal 31
Proste słowa 33
Hymn o miłości 34

Święta Salomea 35
Żółkiewski 36
Odejście 37
Wiarus z „Warszawianki“ . . . 38
Zmierzch nad Sodomą 40
Stójkowy 41
Gazeciarz 43
Motorniczy 45
Joculator Dei 47
Ostre pogotowie 49
Cmentarz w Gorlicach 50
Śmierć 51
Święty Boże 53
Pismo święte 54
Spotkanie w polach 55
Hymn radosny 56
Na start wieczności 57
Świetlany Łowca 58
Złotym żwirem w oczy 59
Ostatnie wakacje 60
W Środę Popielcową 61
Inwokacja 62

